WYDAWNICTWO IM. M. BRZEZIŃSKIEGO

MARJA BOGUSŁAWSKA

DZIECKO LEGJONU

Powieść historyczna z końca wieku 18-go

WYDANIE DRUGIE

„KSIĘGARNIA POLSKA"
TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ
1929

WARSZAWA

WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

DZIECKO LEGJONU.

Powieść historyczna z końca wieku 18-go.

PRZEZ

MARJĘ BOGUSŁAWSKĄ.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA
„KSIĘGARNIA POLSKA" TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ
1929.

Miejska Biblioteka Publiczna
w Nowym Mieście Lubawskim
001-070032

CZYTELNIA

PUBLICZNA BIBLIOTEKA POWIATOWA w Nowym Mieście Lubawskim

Reg. Dz. Gr.
Mdk

Księga inwentarz.
Dział 8-3 Nr. 3407 ubytek

PUBLICZNA MIEJSKA BIBLIOTEKA w Nowym Mieście Lub.

70032

Druk. J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

1.

Drugi bataljon strzelców legji Lombardzkiej i kompanja artylerji, z pułkownikiem Liberadzkim na czele, trzeci dzień już szły pośpiesznym marszem. Otrzymano rozporządzenie, żeby iść na odsiecz załodze francuskiej w Weronie, przeciwko której podniosła się miejscowa ludność w groźnej postawie.

Śpieszono, choć opadano z sił. Legjoniści, przymierający głodem, źle odziani, w obuwiu często rzemieniem przywiązanem do stopy, aby nie pozostało na drodze, szli z zaciętemi ustami, pochmurni, dręczeni tęsknotą i niepokojem.

Nie znano jeszcze wówczas piosenki, która, zrodzona w gorącem Reggio, miała przebiec nad zastępami legjonistów przez całe Włochy, przedrzeć się za Alpy, rozbrzmiewać na wszystkich polach bitew, aby później, w dniach mrocznej niewoli, przy każdej sposobności budzić twórczą i siłodajną nadzieję swem: „Jeszcze Polska nie zginęła".

Więc od czasu do czasu ten i ów, dla dodania sobie animuszu, uciął krakowiaka lub mazurka, ale gdy te nie znalazły echa wśród towarzyszy, westchnieniem kończył piosenkę.

W dodatku przyszło kilkakrotnie ścierać się z gromadami zbuntowanego chłopstwa, które zastępowało drogę roznamiętnione, wściekłe, zbrojne w drągi i żelastwo.

A że nacierała tu rozpacz wolnego ludu, zaskoczonego obawą niewoli, pragnącego wywalczyć wolność dla swego kraju, więc też potyczki bywały zacięte, mordercze, skutkiem czego większość legjonistów ociekała krwią, sączącą się przez byle jakie szmaty, zastępujące bandaże.

Mrok zapadał już gęsty, gdy postępujący przy pułkowniku czternastoletni Jasiek Grzęda, trębacz pułkowy, przyłożył do ust pogiętą i pokrzywioną trąbkę, łup pochwycony przy braniu Mantui, i popłynęło między gajami oliwnemi krótkie, doniosłe hasło.

Żołnierze stanęli jak w ziemię wryci, tylko armaty chwilę jeszcze toczyły się z głuchym łoskotem.

— Sta... a... nąć!... stać!... — rozległ się dźwięczny głos porucznika Chylińskiego.

— W lewo zwrot!... Naprzód, marsz!...

— Przez rów na polankę, chłopcy! rznąć mi brzuchami do góry, wyciągnąć podstawy i skrzepić się pół godzinki!...

Rozporządzenie to najspokojniej spełniono.

— I pożywić się możecie — ze smutnym uśmiechem dorzucił porucznik artylerji Hanuszko.

— Czem?... — mruknęło kilku żołnierzy.

— Nadzieją... — odparł Chyliński — nadzieją, że przed północą staniemy pod Weroną, nad ranem najwcześniej wejdziemy do miasta, a u kupców i mieszczan chleba, ryżu i wina nie zbraknie chyba, do licha ciężkiego.

Do rozsiadłej już na łące gromady podjechał pułkownik Liberadzki, wołając zdaleka:

— Nie wstawać! nie wstawać, mości panowie! wypoczynek należy się wam, jako zdrożonym okrutnie. W każdym rogu jeno niech czuwa który, azali skryte gdzie w zaroślach chłopstwo nie wypadnie niespodzianie.

Ruch zrobił się na polance; po zażyciu pierwszej chwili wypoczynku tłumnie ciśnięto się do strumyka, chciwie pijąc wodę i przemywając bolesne, przyschnięte rany.

Nagle na wschodnim rogu placówki zapanował nad gwarem doniosły głos wartownika: — Stać!... Ktoś idzie...

— Co to? skrada się kto? — zapytał w tej chwili Bartłomiej Ciompa, kościuszkowski jeszcze żołnierz, siędzący obok nad rowem.

— Jako żywo, przemknął się ktoś wedle onych krzaków.

— Jak Pana mego Jezusa Chrystusa z serca kocham, gałązki się ruszają.

— A cisza na świecie, jak w kościele przy Najświętszym Sakramencie...

— Coraz bliżej gałązki się rozsuwają... O!

Z pomiędzy młodych drzew oliwnych wysunęła się nagle postać mężczyzny w sile wieku, odzianego w zniszczony płaszcz, z głową owiniętą brudną szmatą. Twarz wynędzniała, pokryta źle utrzymanym zarostem, oczy jak węgle błyszczały gorączkowo.

— Ktoś ty? mów!

Ale nie dokończył wezwania, gdyż z ust przybysza padły słowa: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... Nasz?

— Wasz.

— Już z legji?

— Nie, dezerter...

— Z kraju?

— Z austrjackiej niewoli: chcę się zaciągnąć.

— Bywaj!... Kolego Ciompa, do pułkownika z nim!

— Chodź, bracie! Jak Pana mego Jezusa Chrystusa miłuję, niełatwe to przedsięwzięcie z austrjackiej niewoli uciec. Dawnoście w drodze?

— Czwarty tydzień.

— I czem się żywicie?

— Parę razy miałem kruszynkę chleba, a na codzień... ha, toć to wam nie nowość i nie dziwy... głodem się przymiera. Całe szczęście, że korzenie osobliwie smaczne w tej krainie, tylko że o ogień trudno... Więc mnie od zimnej strawy we wnętrzu trzęsie. Ale się skrzepię... o jej! Byle mnie przyjęli!

— U nas też tu nędza, jak Pana mego Jezusa Chrystusa z serca miłuję... Juchy Francuzy dowcipkują, że nam rząd lombardzki po cztery kasztany i dwie żaby dziennie na żołnierza wydaje...

— Ale dla Józia strawy dość, robaków chmary na krzakach, to też uważam, że przytyła dziecina.

Ciompa spojrzał zaniepokojony na towarzysza: z ostatnich słów sądził, że ma z warjatem do czynienia.

Zmierzył go od stóp do głów i w tej chwili dopiero spostrzegł, że tamten miał nogi bose i poranione.

— Bez butów was juchy Austrjaki trzymali?

— Buty, bestje, głupich czterech lat nie wytrzymały. Nowiuśkie były, jakem się do Naczelnika zaciągnął...

— Wy kościuszkowski?

— A ino... Świeciły się, jak senatorska kareta, jakem sobie sperką wytarł raniuśko na racławickiem polu...

— I wyście pod Racławicami byli?

— Juści... Na wszystkich polach służyły mi godnie: i pod Racławicami, i pod Szczekocinami, i na Maciejowickiem. Wytrzymały wszyćko: i owe marsze po kamienistych drogach, i przedzieranie się po pniach, wykrotach leśnych, i brodzenie po bagnach, i chlupotanie we krwi na polach bitew; jeno im więzienne powietrze nie posłużyło. A Bóg świadkiem, żem ich jak oka w głowie pilnował; powiesiłem w oknie u kraty, bo tam codzień, ukosem od prawego, słonko przynajmniej kwadrans świeciło, przykryłem sukmaną, co już nie była bieluśka, jak wonczas, gdym pod Racławicami szedł, tak od słót sczerniała, krwią zaplamiona... Że w więzieniu wilgotność była okrutna, więc pleśnią zieloną, jak ozimina na wiosnę, buty porosły; wycierałem, wycierałem coraz, ale tak on mech skórę przeżarł, że w czwartym roku kawałami oblatywała, żebym tak jutra nie doczekał... palcem pchnął, a kawały z niej leciały.

— A z was nie?

— Wiadomo, człek to nad wszystko wytrzymalszy.

— Patrzajta, kolego (bośma, pokazuje się, z pod Kościuszki towarzysze...), ot, tam na onym pieńku siedzi pan pułkownik.

— Ten, co fajeczkę kurzy? Młody jeszcze...

— Rekruta siła przywiódł, pieniądze w umundurowanie jego włożył wszystkie, jakie miał, ale prochu jeszcze nie wąchał... To i lepiej: miał mu starosta Grabianka, co to pono jasnowidzący jest, przepowiedzieć, że od pierwszej kuli zginie.

— Co w bajanie wierzyć!

— Ja wierzyć wolę — ze śmiechem odparł Ciompa — bo mi w młodości przepowiedziała cyganka, że będę w obcych, gorących krajach i że tam jedną królewnę poślubię. A no, w obcych krajach już jestem, a o królewny na wielkich drogach w te czasy, w których różne trony obalają się i wznoszą, nie trudno.

Zwrócił do niego twarz starą i zniszczoną, nie tyle wiekiem, ile przebytemi cierpieniami i trudami, poczem roześmiał się na całe gardło.

Ale byli już o kilka kroków od Liberadzkiego, rozmawiającego z porucznikiem Drzewieckim. Ciompa wyciągnął się jak struna, rękę do czapki przykładając.

— Panie pułkowniku, melduję najpokorniej, jakom przywiódł rekruta.

Liberadzki wytężył wzrok w ciemności.

— Niech tu bliżej przystąpi!

Miarowym żołnierskim krokiem postąpił przybyły i stanął przed pułkownikiem. W blasku ogniska przedstawił teraz w całej pełni swą nędzę i wyniszczenie.

— Do upiora podobniejszy, niż do człeka — szepnął przez zęby Liberadzki.

— Mniejsza będzie pociecha z tych dwojga nowych rąk, niż zmartwienie z tej jednej nowej gęby — uśmiechnął się Drzewiecki.

— Panie pułkowniku, ja już nawykł korzenie jeść — szepnął nieśmiało przybyły; — byle mi je przy ogniu ugotować dali, bo od surowych mnie czuć.

— Skąd wy?

— Z niewoli austrjackiej.

— Długoście w niej byli?

— Zaraz po maciejowickiej bitwie wymknąłem się. Zażyłem tułaczki po lasach, a zaraz po przejściu granicy austrjackiej, nawet nie wiedzący o tem, dostałem się w ich ręce i do Ołomuńca... ciężkie więzienie.

— Ciężkie więzienie — mimowoli powtórzył pułkownik, patrząc ze współczuciem na wynędzniałego człowieka. — Chcecie się do nas zaciągnąć?

— Tak, panie pułkowniku!

— Ale, bo widzicie, nam ciężko swoich wyżywić, ci, co tu są, głodem przymierają.

— Przymierać będę przy was, przymierać będę bez was... Zawdy ta choć cieplej... bo to po nocach chłody i w onej krainie... samemu straszny ziąb, a z towarzyszami, to się jeden do drugiego przytuli i wnetki ciepło brat od brata... I ogień miewacie... można korzonki ugotować... A i z tego lepiej, że to przecie... no, wiecie... wszakże to nie po próżnicy kupa was tu... Przecie przyjdzie czas... wedle tego my tu są... Toć się wróci do Polski... toć dla niej ta poniewierka... jedenby nie dotarł, ale kupą... To przecie, jak tak człek jeden drugiemu powie a na to wspomni, to wnetki cieplej i raźniej...

Liberadzki szarpał wąsa, usta drżały mu od wzruszenia.

— Panie pułkowniku, ja już nawykł korzenie jeść — szepnął nieśmiało przybyły; — byle mi je przy ogniu ugotować dali, bo od surowych mnie czuć.

— Skąd wy?

— Z niewoli austrjackiej.

— Długoście w niej byli?

— Zaraz po maciejowickiej bitwie wymknąłem się. Zażyłem tułaczki po lasach, a zaraz po przejściu granicy austrjackiej, nawet nie wiedzący o tem, dostałem się w ich ręce i do Ołomuńca... ciężkie więzienie.

— Ciężkie więzienie — mimowoli powtórzył pułkownik, patrząc ze współczuciem na wynędzniałego człowieka. — Chcecie się do nas zaciągnąć?

— Tak, panie pułkowniku!

— Ale, bo widzicie, nam ciężko swoich wyżywić, ci, co tu są, głodem przymierają.

— Przymierać będę przy was, przymierać będę bez was... Zawdy ta choć cieplej... bo to po nocach chłody i w onej krainie... samemu straszny ziąb, a z towarzyszami, to się jeden do drugiego przytuli i wnetki ciepło brat od brata... I ogień miewacie... można korzonki ugotować... A i z tego lepiej, że to przecie... no, wiecie... wszakże to nie po próżnicy kupa was tu... Przecie przyjdzie czas... wedle tego my tu są... Toć się wróci do Polski... toć dla niej ta poniewierka... jedenby nie dotarł, ale kupą... To przecie, jak tak człek jeden drugiemu powie a na to wspomni, to wnetki cieplej i raźniej...

Liberadzki szarpał wąsa, usta drżały mu od wzruszenia.

— Wszyscy, wszyscy tą myślą ożywieni... Gdybyż można ich czemś więcej, niż nadzieją, ogrzać i pożywić!... Więc nie boicie się naszej nędzy?

— Wolę waszą, niż moją.

— No, to ostańcie! Mundurzyna się jakowaś znajdzie... Toć pochowaliśmy czterech po drodze, a na zbytek chowania w mundurze nas nie stać... Jak się nazywacie?

— Paweł Sendal.

— Paweł Sendal!... wykrzyknął nagle Bartosz Ciompa. — Może z Janówki pod Korczynem?

Sendal odwrócił się i zamiast odpowiedzieć, długą chwilę wpatrywał się wśród mroku w twarz legjonisty.

— Boga mi... znam was!...

— Jam Bartosz Ciompa.

— Bartoszu!...

Coś, jakby gwałtownie stłumione łkanie, wydarło się z ust przybysza.

I nagle ci dwaj ludzie, pochyleni przez mękę życia, ofiarowanego w zupełności krajowi, padli sobie w objęcia.

Długo trwał ten uścisk: składała się nań i siła wspomnień, i tęsknota, i przebyte cierpienia, a przedewszystkiem rzucony im na tułaczą drogę żywy szmat tego czasu, który, jak hejnał wzniosły, raz jeden rozbrzmiewał im w życiu.

— Pawle, toć tyś mnie pod Szczekocinami własną piersią zasłonił!

— Tyś mnie później, nikiej matka dziecię, w chorobie pieczą otaczał.

— Alboś to nie za mnie cięcie wziął?... Warzęś własną mi nosił... mówiłeś, że wszyćkiego macie wbród,

a potem wiadomo mi się stało, jakoś głodny co dzień do snu legał.

— Już teraz ostaniemy razem.

— Do kraju bagnetem się przebijać.

— Da Bóg, jeszcze was osłonię.

— Kto kogo... mniejsza, byle obaczyć ojczyznę!

Jaśko Grzęda z jednym żołnierzem przynieśli ubranie dla legjonisty.

— Ubierzże przyjaciela! — rzekł z uśmiechem pułkownik, z trudnością powstrzymując wzruszenie.

Sendal z widocznem zmieszaniem powoli zdejmował z siebie dawną świtę białą, obecnie niewyraźnego koloru i kształtu dla rękawów porwanych w szmaty, które zwisały, tworząc coś jakby pelerynę. W blasku ogniska ukazał się znowu w koszuli, której strzępy zaledwie pokrywały wychudłe ciało.

— Dla Boga, i koszuli mu trza! Biegnij, Jaśku, po koszulę!

— Okryj się mundurem! — rzekł Ciompa, schylając się po położone przez Jaśka ubranie.

— To po Domaradzkim? — zapytał pułkownik żołnierza.

— Tak, panie pułkowniku.

— To nielada zucha mundur odziedziczasz. Walczył jak lew z kupami „baurów“ *), zginął rozszczepiony przez czerń, drogo sprzedawszy życie.

— Potąd walczyło się z baurami, mając przeciw sobie drągi i widły; pod Weroną pójdziemy już w ogień przeciw kulom.

---

*) Tak zwali legjoniści chłopów włoskich.

a potem wiadomo mi się stało, jakoś głodny co dzień do snu legał.

— Już teraz ostaniemy razem.

— Do kraju bagnetem się przebijać.

— Da Bóg, jeszcze was osłonię.

— Kto kogo... mniejsza, byle obaczyć ojczyznę!

Jaśko Grzęda z jednym żołnierzem przynieśli ubranie dla legjonisty.

— Ubierzże przyjaciela! — rzekł z uśmiechem pułkownik, z trudnością powstrzymując wzruszenie.

Sendal z widocznem zmieszaniem powoli zdejmował z siebie dawną świtę białą, obecnie niewyraźnego koloru i kształtu dla rękawów porwanych w szmaty, które zwisały, tworząc coś jakby pelerynę. W blasku ogniska ukazał się znowu w koszuli, której strzępy zaledwie pokrywały wychudłe ciało.

— Dla Boga, i koszuli mu trza! Biegnij, Jaśku, po koszulę!

— Okryj się mundurem! — rzekł Ciompa, schylając się po położone przez Jaśka ubranie.

— To po Domaradzkim? — zapytał pułkownik żołnierza.

— Tak, panie pułkowniku.

— To nielada zucha mundur odziedziczasz. Walczył jak lew z kupami („baurów"*), zginął rozszczepiony przez czerń, drogo sprzedawszy życie.

— Potąd walczyło się z baurami, mając przeciw sobie drągi i widły; pod Weroną pójdziemy już w ogień przeciw kulom.

---

*) Tak zwali legjoniści chłopów włoskich.

— Pierwsza mnie sądzona — z uśmiechem rzucił Liberadzki.

— Z tego boku mundur jeszcze od krwi wilgotny — zauważył Ciompa.

Sendal ujął mundur w drżące ręce, popatrzał nań chwilę i z czcią ucałował.

W tej chwili powrócił Jasiek z bielizną.

Sendal zrzucił mundur i zaczynając się rozbierać, z trudem rozwiązywał sznurek, otaczający go w pasie.

— Psiakrew!... zaciągnął się węzeł. Dajcie, kolego, noża!

Przecięto sznurek i ku zdumieniu wszystkich, Sendal złożył na ziemi maleńką klateczkę, którą miał przywiązaną na plecach. W klatce zaczęło się coś poruszać i trzepotać.

— Zląkł się Józio ognia! — dziwnie miękkim głosem rzekł Sendal... Zarutko skryjesz się pod świtkę.

Zarzucił na klatkę poszarpaną sukmanę. — Tak, śpij, bąku, jak u matusi pod skrzydełkiem; nikt ci tu krzywdy nie zrobi.

— Cóż to za inwentarz z sobą wozicie? — zaśmiał się Liberadzki.

— To, panie pułkowniku, tak już dwa lata... W więzieniu wpadło to przez okno... jeszcze latać nie umiał... ledwo wypierzony... Musieli to temu źli ludzie gniazdko zepsuć... Zabrałem to... pod pazuchą się wychował.

Zaśmiał się z rozczuleniem. — Muchym mu łapał, okruszynami chleba żywił, i tak to nawykło do mnie, jak pies. Na mój głos przylata... Józio go nazwałem, bom w domu chłopaka tego imienia miał... Uciekać trzeba było, tom Józia pod pachę wzion, jak

niegdyś, kiej latać jeszcze nie umiał. Co on się natrzepotał, co mnie pazurami naskrobał a dziobem natłukł... Uciecha!... Skorom granicę przeszedł, wnetki pałac mu zbudowałem: deseczki w Tryjeście w porcie znalazłem, z rozbitej skrzynki znać, drutem ukradł nocą przy jednym pałacu, co miał ogród dookolutka siatką otoczony... Ciężka to była robota bez narzędzi jeno tak ten drut giąć a zębami przygryzać... I tak żyjemy we dwóch i tak się w służbę pana pułkownika we dwóch oddajemy.

Tu wybuchnął Ciompa. — Sensu niema! fanaberje! jak Pana mego Jezusa Chrystusa kocham! Słyszał świat, żeby żołnierz, jak stara panna, z ptaszkiem się wodził!

— To towarzysz więzienia — szepnął niemal błagalnie Sendal.

— To dość miał więzienia — wolność mu dajcie!

Sendal z przerażeniem rzucił się ku stojącej na ziemi klateczce. — Nie! nie! nie! — krzyknął. — Nie dam go!

— Samemu ci wolność pachnie, a to biedactwo w klatce jak pięść więzisz!

— Ja go puszczę, jak Boga kocham, puszczę, ale skoro wrócimy do kraju.

— Wróbel zamrze do onego czasu.

— Po kwaterach puszczać go będę, wtedy wybuja się dosyta.

— Pawle, bądźcie mężczyzną i pomyślcie, że żołnierze z was szydzić będą.

— To tak, jakbyście mi kazali własne dziecko precz wyrzucić — ze łzami w głosie zawołał Sendal.

— Dosyć, Bartoszu! — odezwał się pułkownik Liberadzki, — nie wolno zabierać takiego skarbu biedakowi. Ptak, wychowany na okruchach skąpego chleba więziennego, ukryty w klateczce z kradzionego drutu, przy robieniu której krew nieraz z palców trysnęła, ma większą wartość, niż rumak, nabyty za drogie pieniądze. Przyjmujemy was obu do pułku.

Sendal przypadł do kolan pułkownika. — On się byle czem wyżywi, na gościńcach strawy znajdę dość dla niego.

— On polskiej legji nie skrzywdzi — z uśmiechem rzekł Liberadzki, klepiąc nowego legjonistę po ramieniu.

2.

Ciompa rozciągnął ścisłą opiekę nad Sendalem. Ubrał własnoręcznie, jak matka dziecko, nożycami obciął naprędce zaniedbany zarost. Uprosił dlań trochę gorzałki u jednego z poruczników, kawał chleba u któregoś z towarzyszy.

Wróbla jednak nie mógł mu darować. W przywiązaniu biedaka do ptaszyny widział dziwactwo i karygodną słabość. Wracał ciągle do tego i nie przestawał gderać w czasie marszu pod Weronę. Sendal, przeciwnie, pokrzepiony był na duchu i ciele, wybornie przeto usposobiony, żartował ciągle ze złego humoru starego towarzysza broni.

Werona zdaleka rysowała się przed niemi na tle łuny, powstałej z pożarów, wznieconych w kilku punktach.

Legja znajdowała się zaledwie o kilometr, gdy zabiegł jej drogę żołnierz francuski, krwią ociekający, i z przerażeniem i zgrozą opisał, co się dzieje w Weronie.

Liberadzki zadrżał. Z bladą twarzą wysłuchał żołnierza i zwróciwszy się do swych legjonistów, zawołał: — Bracia! oto w Weronie wyrznięto w pień załogę francuską, nie podarowano nawet chorym w szpitalach, łóżka umierających krwią spłynęły. Oto jeden z tych, co cudem uszedł zagłady. — Bracia! — mówił — sądzono nam być mścicielami sprzymierzonej armji, sądzono nam pomścić zniewagę praw boskich i ludzkich. Za mną, kto w Boga wierzy!

Wzburzony, z pałającemi oczyma, skoczył naprzód.

W pół godziny potem wjeżdżali w bramy miasta. Tłumy, pijane krwią i żądzą zemsty, zastępowały im drogę, raniąc bronią palną i białą, rażąc ciężkiemi przedmiotami, oblewając z okien warem.

Ale nie tyle poczucie konieczności samoobrony, ile oburzenie i zgroza podniecały Polaków do walki. Miasto przedstawiało okropny widok: ulice zawalone trupami, pokaleczonemi straszliwie, umyślnie oszpeconemi w ohydny sposób. W wielu miejscach ciała w bieliźnie, widocznie wyrzucone przez okna, niektóre żyjące jeszcze, napełniały ulice. Ze wszystkich stron płynął żałobny chór jęków, westchnień, charczeń, błagań o pomoc.

Pułkownik Liberadzki, z szablą wzniesioną, pieszo, depcząc po stosach ciał, pędził za oddziałem powstańców, który uchodził, odwracając się co chwila i raniąc kamieniami z proc.

Nagle z za węgła jakiegoś błysnął ogień i rozległ się huk pojedyńczego strzału, a po nim rozdzierający

okrzyk. Pułkownik Liberadzki schwycił się za pierś, zatoczył wtył i padł na ręce Pawła Sendala.

— Naprzód, dzieci! — krzyknął jeszcze. — Zemsta za poległych! zemsta za pohańbionych!

Omdlałego wyniósł na rękach Sendal i rozkazawszy kilku szeregowcom iść za sobą, wtargnął do bramy opustoszałego pałacu.

Dwóch służących, nie usiłując nawet bronić, pozwoliło wnieść umierającego i złożyć na wspaniałem łożu pod baldachimem ze staroświeckiej materji.

— Gnaj na miasto! — zawołał Sendal do jednego z szeregowców — znajdź medyka pułkowego, niech tu przychodzi ratować! Ja ostanę przy nim.

Lekarz przyszedł późno i stwierdził, że przychodzi napróżno: Liberadzki, ukochany przez wojsko, mąż dzielny i miłujący ojczyznę, umierał, słuchając raportów o tem, jak legja opanowuje miasto; czasami tylko szeptał zaledwie dosłyszalnym głosem: — Nie minęła mnie pierwsza kula...

Nad wieczorem skonał.

Strapiony Sendal wyszedł na miasto, jak mówił, zrachować tych wszystkich rodaków, których dusze przeniosły się za pułkownikiem w krainę wieczności.

Z niepokojem myślał o Ciompie, którego od rana stracił z oczu. Pytał towarzyszy; zbywano go nic nie znaczącemi odpowiedziami; każdy zajęty był bądź uprzątaniem miasta z trupów, bądź odnoszeniem rannych, bądź zdobytemi łupami, choć na plondrowanie miasta dowódcy nie pozwalali.

W wielu miejscach, przy barykadach, znajdowano prawdziwe stosy ciał, rozpaczliwie zmieszane, Polaków i Włochów, smutnych obrońców wolności swego kraju,

tych, co, nie chcąc ustąpić kroku, skłębili się w boju, walcząc już nie bronią palną, nie białą, lecz pierś o pierś, bary za bary, na zęby i pazury, tarzając się w kurzu i krwi.

W takich kupach, często zmasakrowanych w ohydny sposób, trudno było odnaleźć kogo; to też Sendal wrócił zniechęcony, zgnębiony, czując się znowu bezgranicznie osieroconym w tym szeregu bratnich serc, co go dopiero od kilkunastu godzin przyjęły za towarzysza.

Wyznaczono im na kwaterę jeden z klasztorów, którego mieszkańcy usunęli się do swych celek, pozostawiając refektarz, kuchnie i korytarze do dyspozycji zwycięzców.

Wesołość zapanowała wśród ponurych ścian gmachu, wybuchy śmiechu i żwawe piosenki uderzyły o gotyckie sklepienia.

Legjoniści, zgłodzeni, mieli dnia tego jedzenia wbród, tułacze mieli dach nad głową, zwycięzcy utwierdzili się w nadziei, że zaprawiając się w bojach, dobiją się ojczyzny.

Sendal tylko, nieśmiały i niespokojny, siedział w kącie, odwiązał klateczkę, rzucił w nią garść żyta, nakrył płaszczem, twarz wcisnął w dłoń i pogrążył się w zadumie. Otaczała go ciżba i gwar, ale on nie słyszał nic, myślą przebiegając miasto, odnajdując krwawe trupy, z trwogą zastanawiając się, czy tam gdzie nie umiera dla braku pomocy towarzysz miły, co go wiązał z przeszłością, podtrzymywał w teraźniejszej chwili.

Niedługo wytrzymał wśród tego natłoku myśli, porwał się z postanowieniem, że poprosi, by mu po-

zwolono przeszukać jeszcze miasto. W drzwiach już jednak wpadł na wracającego Ciompę.

— Co lecisz, jak warjat? dziecko mi zdepczesz!

Sendal uradował się i zarazem zdumiał: Ciompa wiódł przed sobą, otulając płaszczem, chłopczynę dziesięcioletniego, o jasnych włosach i bladej, ładnej twarzyczce.

— A co to? zawołało kilku. — Cóż to za łup wojenny?

— Skąd ten dzieciak? — zapytał Sendal, nie mogąc ze zdumienia przyjść do siebie.

— Co za dzieciak? Czekaj, zaraz się dowiesz, co to za dzieciak, mości dobrodzieju.

Trącił zlekka chłopca. — No, gadaj!

Chłopiec spuścił oczy — milczał.

— Gadaj! mówię ci — powtórzył Ciompa. Chłopiec nie podnosił oczu, nie otwierał ust.

— No, cóżeś miał powiedzieć?

— On was nie rozumie, a wy do niego precz po naszemu gadacie — rzekł jeden z legjonistów.

— Aha, nie rozumie!... To tylko Mazur musi być, więc uparty jak osioł, panie dobrodzieju... No, gadaj mi, z cierpliwości mnie nie wyprowadzaj, żebym cię zaś nie zmacał!

Chłopczyna pobladł jeszcze bardziej.

— Nie strasz dzieciaka! — rzekł Sendal.

— Skądżeś wziął onego bambina?*) — zapytał porucznik Lechowski.

— Wziąłem go z izby, która już płonęła, oderwałem go od trupa matki, którą podłe baury bezecnie rozpłatali.

---

*) *Bambino* — znaczy po włosku: chłopczyk.

Usta chłopięcia poczęły drżeć, z pod długich rzęs spłynęła łza.

— On rozumie polską mowę.

— Co nie ma rozumieć: to polskie dziecko. Głos Ciompy załamał się od wzruszenia.

— To polskie dziecko! — jak echo, powtórzyli legjoniści.

— I cóż ty dziecko wodzić z sobą będziesz? — ostro zapytał Sendal.

— Dy go tu nie ostawię na poniewierkę.

— Dzieciak w tem mieście może mieć krewnych, przyjaciół, którzy nim się zaopiekują.

— Trzeba go wybadać.

— No, powiedz, robaku, masz tu kogo w tem mieście?

Chłopak szlochał coraz mocniej, lecz nie odpowiadał.

— Dajcie mu się uspokoić i przyzwyczaić do obcych... Dzieciak zalękniony jak zając w kotle.

— Pewnie przedewszystkiem głodny.

— Święte wasze słowa, Wojciechu, jak Pana mego Jezusa Chrystusa kocham. Kto tam w dniu dzisiejszym o pożywieniu bachora pomyślał!

Zakrzątnął się i w parę chwil później dymiła przed chłopcem miseczka pełna zupy, zgotowanej z mięsem. Znalazł się i kawał chleba białego, jeden z legjonistów położył przed nim dwie pomarańcze, drugi garść daktyli i fig; ale chłopiec nie podnosił oczu na stojącą strawę, zalękniony i drżący.

— Bo nie patrzcie na niego, jak wół na nowe wrota! — huknął Ciompa, uderzając pięścią w stół. — Jak mu wszyscy w gębę spoglądać będziecie, to się pierwszą łyżką udławi...

Roześmiali się wszyscy, ale widać uznali słuszność twierdzenia, bo odwrócili się od chłopczyny jak na komendę, a po chwili przybycie kilku towarzyszy, powracających od grzebania umarłych, i ich opowiadania całkiem oderwały uwagę od dziecka.

Ciompa tylko z Sendalem zasiedli naprzeciwko, wiodąc cichą rozmowę, sobą tylko i chłopcem zajęci.

— Przecież go z sobą w nasze drogi nie zabierzesz — rzekł Sendal. — Sumienia trza nie mieć, żeby na taką poniewierkę dziecko narażać.

— A lepiej mu będzie ostać tu, pod gołem niebem? Dom mu spalili, matkę zabili.

— Może ma ojca?

— Nie ma.

— Może mieć krewnych.

— Nie będzie miał.

— Pułkownik ci nie pozwoli dzieciaka ze sobą wodzić.

— Uproszę.

— Skądże ci to jedną gębę więcej dołączać!

— Żebyś ty był usłyszał tak, jak ja...

— Stary dzieciak z ciebie i dzieciakiem bawić się chcesz.

— A ty wróblabyś puścił?

— Wróbel wojska nie odje.

— I ta marnota przy pułku się używi.

— Jabym wróbla nie puścił, bom się do niego w więzieniu przyzwyczaił, my stamtąd oba ruszyć się nie mogli: ja dla więzów, on, bo latać jeszcze nie umiał. A kiedym się przywiązał, rozstać się ciężko. Ale to też ty ostaw to dziecko, póki ci obojętne. Prze-

pytamy w mieście, może ma znajomych, muszą też tu być klasztory, opiekujące się sierotami, oddamy go.

Ciompa porwał się z miejsca.

— Znalazłem przy jednym zabitym Włochu dziesięć czerwonych złotych: zechce pułkownik, żebym oddał — oddam. Zabrałem jednemu rozszczepionemu oficerowi złoty zegarek, każe oddać — oddam... Ale dzieciaka nie dam sobie zabrać!

— Stary, a głupi!

— Gdybyś ty był słyszał tak, jak ja...

— W imię Ojca i Syna... — doleciały nagle do ich uszu dziecięcym głosem dobitnie wymówione słowa.

Obaj, jakby zelektryzowani, zwrócili oczy na chłopca. Stał przed swą miseczką z oczyma spuszczonemi, z twarzyczką dziwnie poważną i uroczystą; przeżegnawszy się, ręce złożył i mówił wolno, dobitnie słowa modlitwy: — Pobłogosław, Panie Boże, te dary, które z łaski Twej spożywać będziemy! W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.

Ta modlitwa dziecięca, przyciszonym, tkliwym głosem wypowiedziana, zapanowała nagle nad gwarem izby. Uciszono się i zwrócono do dziecka.

Ten i ów czapkę zdejmował z głowy, tu i ówdzie łza błyskała w oku. Nagle, wśród ciszy, która panowała jeszcze chwilę, choć chłopczyna, skończywszy modlitwę, zabrał się do jedzenia, wybuchnęło łkanie.

Jan Mowca, najtęższy, najokazalszy artylerzysta, nie powstrzymał się — wybuchnął płaczem. — Jak tam... u nas! jak mój dzieciak!

Sendal porwał się, skoczył ku chłopcu i uniósł go na rękach. — Polskie dziecko! jak Boga kocham! polskie! polskie!

— Teraz ci nie dziwota, żem zapłakał z radości, jakem w tem obcem mieście, po tylu latach tułaczki zdala od kraju, posłyszał dziecko, wołające: „matusiu! matuchno!“...

Zaczęto cisnąć się do chłopca, wyrywać go sobie, tulić do piersi, całować.

— Polskie dziecko! polskie dziecko!

— Jak ci na imię?

— Staś.

— Staś! Staś!

Rozkoszowano się tem imieniem, wymawiano z najwyższą czułością; kto z nich nie miał Stacha między najbliższymi!

Ale więcej nad to nie udało się tego wieczora wydobyć z chłopczyny. Wreszcie na usilne zaklęcia Ciompy, by malca nie męczono, pozwolono mu spokojnie zjeść wieczerzę i udać się na spoczynek.

Sendal z Ciompą podesłali mu złożony w kilkoro dywan, wywleczony z zakrystji, Ciompa podłożył mu pod głowę swój płaszcz, Sendal swoim go okrył, Ciompa z czułością matki zdjął mu trzewiki, Sendal owinął mu nogi szalem. I położyli się, każdy z jednej strony, pilnując malca jak skarbu najcenniejszego.

Dzień już był wysoko, gdy w refektarzu rozpoczął się ruch między żołnierzami. Zbudził się i Ciompa, przedewszystkiem rzucił okiem na dziecko: spało skręcone prawie w kłębek.

Legjonista widział jego plecy wąskie, dziecięce, jedną różową piętę, która wysunęła się z pod szala, jego złotawe kędziory na wezgłowiu z płaszcza, więc ogarnęła go nieprzeparta chęć zajrzenia w oczy chłopczyny. Uniósł się na ręku i wysunął głowę.

Nagle zaklął i odskoczył; taka sama klątwa rozległa się z drugiego boku chłopięcia: to Sendal, który, obudziwszy się, równie zapłonął chęcią pocałowania dzieciaka, posunął także głowę, no i, rzecz naturalna, nastąpiło gwałtowne zderzenie się czaszek.

— Do licha! Do pioruna! nie możesz leżeć spokojnie?

— A ty czego się kręcisz, jak pliszka na płocie?

— Pchły mnie gryzą.

— A mnie twardo leżeć...

— Et, co to za sens dzieciucha wśród żołnierstwa trzymać!

Ciompa tarł czoło. — At, czaszkę macie twardą, jak armata!

Wykrzyki opiekunów zbudziły Stasia. Otworzył oczy, spojrzał niepewnym wzrokiem po izbie, zatrzymał spojrzenie na twarzy pochylonych nad nim legjonistów i znowu zamknął oczy.

Ciompa zlekka pociągnął go za nos. — Stachu, wstawaj!

Sendal pieszczotliwie ujął go za kędziory. — Stachu, otwórz ślipka!

— Dzieńdobry! — szepnął Stach, nie otwierając oczu.

— Dzieńdobry! — powtórzyli z zapałem legjoniści... Tak mówi, jak u nas dzieci... Jak nasze dzieci!

— Dobrześ spał, Stasiuniu?

— Dziękuję waszmości, dobrze.

— Jaki on grzeczny! Jak dobrze wychowany!

— No, to powiedz, Stasiu kiedyś taki grzeczny, jak twoje nazwisko?

— Gutowski.

Chłopiec otworzył oczy, zdawał się całkiem oswojony z tem, co go otaczało.

— Czyście stale mieszkali w Weronie?

— Od roku; tata malował świętym suknie.

— Więc tata był malarzem?

— Tak, odnawiał kościół z jednym malarzem Włochem; tamten malował twarze, a tata suknie, a jeszcze inny obłoki.

— No, tak... A tata gdzie?

Twarzyczka chłopca zadrgała spazmem. — Tatę zabili wczoraj. — A dlaczego?

— Dlatego, że u nas Francuzi ciągle bywali; to jak Włosi poczęli mordować Francuzów, to jeden oficer i trzech żołnierzy strasznie poranionych schroniło się do naszego mieszkania. Mama pochowała ich za firanki i w wielkiej szafie. Włosi wpadli w podwórze, tata nie chciał ich do domu puścić, więc oni tatę zastrzelili ze strzelby... sam widziałem... tata tylko strzepnął rękami po powietrzu i zaraz padł, a potem stał się taki biały... biały... No, i Włosi wpadli, tamtych poznajdowali, pomordowali, a potem mamę...

Zaszlochał gwałtownie.

— No, nie płacz, nie płacz! tu każdy z nas będzie dla ciebie jak tata i mama.

— A może ty wolisz zostać tu w Weronie? — zagadnął Sendal.

— Nie przewracaj chłopakowi w głowie! — krzyknął Ciompa. — Masz ty kogo w Weronie? jakich przyjaciół rodziców?

— U rodziców sami tylko francuscy oficerowie bywali.

— A widzisz! — zatryumfował Ciompa.

— Tata Włochów nie lubił, mówił, że oszuści. Nawet pan Borascini, ten główny malarz, chciał tatę oszwabić i często zamiast sześciu sukien, wymalowanych przez dzień, zapisywał pięć i kłócił się z tatą.

— Więc prawda, wolisz pójść z nami, niż tu zostać? — prawie błagalnie patrząc, pytał Ciompa.

— Tu nie chcę! Tu tatę i mamę zabili. — Znów zaczął płakać.

— No, nie płacz! Pójdziesz z nami?

Chłopczyna oczy tarł pięściami. — A dokąd wy idziecie?

— Dokąd idziemy?... ano, widzisz, Stasiu..

Zaciął się Ciompa, odchrząknął, zastanowił się i rzucił w stronę Sendala: — Ty mu wytłumacz, gdzie to my idziemy.

— Ano my idziemy... my idziemy w świat... do ojczyzny.

— Do Polski?

— Do Polski — rozrzewnionym głosem powtórzył Ciompa.

— A ty znasz Polskę? — zapytał Sendal.

Staś nie odrzekł zaraz, tylko przeciągnął się, oczy przymknął i szeptał: — Takie wielkie, wielkie pola, w nich tyle maków i bławatków i kąkoli, a na domu naszym każdego roku piął się groch na słupkach ganku, kwiatki się czerwieniły, jak korale.

— W ogródku malwy... — szepnął Ciompa.

— Różowe, czerwone, żółte... — kończył Sendal.

— I nagietki i słoneczniki.

— W sadzie grusze i wiśnie — westchnął Sendal.

— Na wiosnę to tak biało, jakby śniegiem drzewa osnuł.

— A zimą to śniegi...

— Bieluśkie, jak na ołtarzu...

— A te ciemne bory!

— Sosny śmigają wgórę...

— Świerki, jodły takie wielkie...

— A spodem paprocie, jak haftowane.

— Wrócimy, dziecko! Kiedy?... kiedy?... Wprzód trzeba nam przejść wiele krajów, wiele bitew wygrać, wiele miast zdobyć, wiele towarzyszy pogrześć...

— Ale my wrócimy? Nie wszyscy, dziecino, nie wszyscy.

— Ale ja wrócę?

— Ty wrócisz, wrócisz, Stachu.

— Pomnijcie, przyrzekliście!

3.

Nie bez trudności zdobyto pozwolenie dla Stacha, żeby mógł iść z legjonistami.

Ciompa i Sendal prześcigali się w objawach troskliwości i czułości dla dziecka. Każdy lepszy kąsek jemu oddawali; spostrzegłszy zmęczenie, brali go na ramiona, lub uprosiwszy ogniomistrza, sadzali na lawecie armaty. Kłócili się przytem nieustannie, zarzucając sobie wzajemnie nadmierne psucie dziecka.

To też Stach, ciągle na powietrzu, w cudownym klimacie, mężniał i poważniał; wśród tych najczęściej głodnych zastępów on jeden nigdy głodu nie zaznał; co dziwniejsza, sam jenerał Dąbrowski codziennie mu część swego przysyłał.

Legjoniści wdzierali się na drzewa, aby zdobyć jaki owoc dla malca. Wkońcu ogłoszono go dzieckiem legji, odbywszy formalne chrzciny, w których pokumali się Ciompa z Sendalem: pierwszy jako ojciec, drugi jako matka chrzestna. I dalej trwało współzawodnictwo między dwoma legjonistami pod względem dogadzania chłopcu.

Ale w Mantui zaszedł wypadek, który nietylko położył kres współzawodnictwu, lecz całkiem zniechęcił Sendala do Stacha.

Wezwano raz legjonistów dla odbycia wycieczki w okolice, pod dowództwem pułkownika Bogusławskiego, celem położenia kresu wybuchłym w kilku miasteczkach zamieszkom.

W koszarach, w izbie przeznaczonej dla chorych, pozostało trzech legjonistów, nie mogących wylizać się z ran, dwóch chorych na febrę i Stach nad numerem „Dekady“ *), z której Ciompa przykazał mu się nauczyć napamięć dziesięć wierszy.

Czytanie drobniutkiego pisma szło mu opornie, wiersz Godebskiego jeszcze bardziej w głowę mu nie wchodził.

„Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy,
Szedł w sławie na wyścigi Sarmata z Lombardy.
A wprawiony do boju swoich przodków torem,
Stary uczeń Bellony nowemu był wzorem,
I rycerz, co odwagą w swej ojczyźnie słynął,
Walcząc mężnie za swoją — za cudzą tu ginął“.

---

*) Pisemko dla legjonistów, wydawane w kilku przepisywanych egzemplarzach przez Rymkiewicza i Cyprjana Godebskiego.

— „Tu mszcząc się na mieszkańcu...“ panie Miętus, przecie jak my Warszawę weźmiemy, to rzezi nie uczynimy?

— Nie zawracałbyś głowy!... gdzie nam do Warszawy?...

— Przecież my wrócimy do Polski, więc musimy przedewszystkiem Warszawę zdobyć.

— Rożenki strugać, a wróble na dachu! Ucz się lepiej, bo ci Ciompa lanie sprawi.

— Ojciec Ciompa nie bije.

— Oj, żeby cię trzeci raz nie ochrzczono! wtedy ja będę chrzestnym ojcem, a Ciompa będzie kropidłem wywijał.

Ten sposób rozmawiania nie podobał się Stasiowi, więc wrócił do uczenia się wiersza:

„Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy...“

— O, taki ten wiersz bez sensu!

— Coś ty powiedział, gałganie? bez sensu wiersz porucznika Godebskiego?... Pana Cyprjana wiersz bez sensu! A wiesz ty, zatracone bambino, że takiego poety, jak pan Godebski, to ani Grecja, ani Rzym nie miały?... To nie sztuka pisać wiersze taką mową, której nikt nie rozumie, której sam Pan Bóg i Najświętsza Panienka słuchać nie chcą; ale w polskiej mowie każdy czyn żołnierski w rymowaną formę przywdziać to dopiero sztuka i zasługa Panu Bogu i wszystkim świętym miła! O, tak, jak w tym wierszu: „tu z pogardy dla Lombardy...“

— Ale to nie tak, panie Miętus! „Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy...“

— Przeciem tak mówił i dalej, bo tam stoi jeszcze „i Lombardy“.

— A dalej?

— Patrzcie go, będzie mnie egzaminował!

— Przeczytaj lepiej cały głośno! — słabym głosem odezwał się leżący na tapczanie Ksawery Rembowski, któremu niewiele już od życia się należało.

— Kiedy te literki takie drobniuśkie, takie ciężkie, że ja ani rusz przeczytać nie mogę... Panie Miętus, panie feldfeblu, panie poruczniku, panie kapitanie...

— Nie kpij sobie! zasłużonemi oficerskiemi stopniami gęby sobie nie wycieraj po próżnicy...

— To proszę was, przeczytajcie głośno ten wiersz, ale tak z pięć, sześć razy, a ja będę powtarzał za wami i nauczę się.

Miętus mruczał niechętnie, ale nie mogąc się oprzeć urokowi dziecka, zaczął czytać głośno wiersz Godebskiego.

Stach powtarzał za nim jak maszynka, widocznie myśląc o czem innem, bo tymczasem zbliżył się do klatki, w której znajdował się „Józio“, i począł mu się przypatrywać z wielką uwagą. Nie było to już owo liche, maleńkie pudełeczko ze starych desek i zardzewiałego drutu, w jakiem wróbel ze swym panem zaciągnął się w narodowe szeregi, ale wspaniała mosiężna klatka, z kryształowemi naczyńkami i gniazdkiem ze złoconej trzciny, klatka kosztowna, kupiona za bezcen na targu w Medjolanie, zapewne ukradziona z jakiego pałacu podczas walk rewolucyjnych.

— Józiu, jak się masz? — rzekł Stach, unosząc drzwiczek i wsuwając rękę do klatki. Ptak, znający swe imię i przyzwyczajony do łaskawego obejścia,

skoczył na palec chłopcu, otoczył go suchemi szponkami i zwrócił ku niemu głowę, spoglądając, jakby pytająco, jednem czarnem, jak perełka, oczkiem.

— Chodź, wezmę cię na spacer, przedstawię cię panu Rembowskiemu, bo on lubi takie głupie, jak ty, ptaszki.

Niósł go ostrożnie na palcu w stronę łóżka Rembowskiego.

Nagle porwał się Miętus.

— To tyś taki, urwisie! Każesz mi czytać, masz się ze mną uczyć... Ja, jak bałwan, ślepie sobie psuję, a ty tymczasem z wróblem psie figle urządzasz? A idź na złamanie karku, piekielny rekrucie!

Rozsierdzony wielce cisnął na Stasia trzymaną w ręku gazetą, która przeleciała tuż nad wróblem; strwożona ptaszyna porwała się z palca chłopca, z trzepotem przeleciała izbę i wpadła w szeroki kominek.

Stach rzucił się za nią. W kominie były węgle, dym odurzył ptaszka, z żałosnem ćwierknięciem padł między dwie palące się głownie.

Rozdzierający krzyk Stasia napełnił izbę. Skoczył Miętus i parząc sobie palce, wyciągnął ptaszynę z niebezpiecznej pozycji; ale biedactwo miało nadpalone skrzydło i nóżkę, dyszało ciężko, nastrzępiając piórka.

Smarowano ptaszka oliwą i trzeźwiono wodą, gdy wrócili legjoniści.

Sendal rzucił się ku Miętusowi, spostrzegłszy, że trzyma w ręku wróbla, w tej chwili Staś objął go za kolana, zanosząc się głośnym płaczem.

— To ja! to ja! jegomościu! to ja, matko chrzestna, jestem winien: ja ptaszka wyjąłem z klatki, ja obnosiłem po izbie... Pan Miętus go spłoszył...

Sendal pobladł jak ściana, wyciągnął rękę po wróbla. Długą chwilę patrzał na oparzeliny i dwie łzy wielkie poczęły spływać po wynędzniałej twarzy.

— Przebaczcie! przebaczcie mi, jegomościu!

Ale Sendal odtrącił Stasia szorstko, nie rzekł ani słowa, raz jeszcze nalał oliwy na rany i zaniósł ptaszka do gniazdka.

Nie zrobił słowa wymówki Stasiowi, ale dziwnie odrazu serce do niego stracił; nawet choć wróbel zaczął przychodzić do siebie i choć o sztywnem skrzydełku i skurczonej nóżce skakał po klatce, Sendal nie mógł zdobyć się na słowa przebaczenia.

Ciompa, widząc takie zacięcie w twarzy Sendala, nie próbował wstawiać się za Stasiem, tylko zdwoił czułość swą dla chłopca i każdemu, kto chciał, czy nie chciał słuchać, przekładał, że dzieciak nie winien okaleczeniu wróbla, że nie chciał mu krzywdy uczynić, że ptaka często wypuszczano na izbę, więc czemu, jak owca, sam w ogień właził. Wyrozumował to sobie wkońcu w ten sposób: — Wiadomo, bez matki chowany... a toć człek człeka rozumu uczy, zając — zająca, pszczoła — pszczołę, a wróbel — wróbla. Ten zaś, przez Sendala wychowany, człeczego rozumu nie przejął, a ptasiego się nie nauczył. A stąd morał dla każdego, że głupia sprawa jest ptaka zabierać i oswajać, bo choć mu się brzuch zapełni, ale rozum pozostanie pusty.

Sendal przeniósł swoje rozżalenie ze Stasia na Ciompę, którego unikał do tego stopnia, że nawet gdy im nakazano wymarsz do Rzymu, postarał się znaleźć w szeregu pomiędzy dwoma braćmi Makami, chociaż dotychczas okazywał im niechęć.

Dopiero wejście do Rzymu zbliżyło ich do siebie. Chwila była zbyt podniosła, aby uczucie niechęci i nienawiści mogło nie wypełznąć z serca.

Był dzień 3 maja 1798 roku.

Wkroczono do miasta trzema kolumnami, przy odgłosie trąb i bębnów. Ulice wypełniały tłumy, okna domów pstrzyły się od różnobarwnych strojów. Wszyscy z zajęciem patrzyli na szeregi rosłych mężczyzn, ze znakami wyczerpania, śladami przebytych trudów i walk.

Zwyczajni mieszczanie, dbali jedynie o wzrost bogactw i ciche, wygodne życie, radzi widzieli zdobywców, wierząc, że oni położą kres rujnującej ich rewolucji. Ci jednak, którzy prawdziwie pragnęli wywalczyć wolność krajowi, ponurym wzrokiem spoglądali po szeregach, jakby mówili: dopełniacie miary nieszczęść naszych, zaciskacie nam więzy.

Ale wchodzący legjoniści zanadto przejęci byli myślami, jakie nasuwało im wejście do stolicy Piotrowej, aby się mogli nad tem zastanawiać. Miarowym krokiem dążyli w stronę Kapitolu, którego marmury nabierały różowego odblasku w świetle zachodzącego słońca.

Poważnie, w skupieniu wstępowano na górę. Jenerał Dąbrowski na pięknym cisawym koniu, darze ziemi Lombardzkiej, wjechał pierwszy, kazał sformować szyki, rozwinięto chorągwie, odezwały się bębny raz, drugi i trzeci, a potem nastąpiła cisza, zamącona ledwie od czasu do czasu brzękiem bagneta.

Jenerał Dąbrowski stanął pod pomnikiem cesarza Marka Aureljusza i przemówił:

— „Stanęliśmy na szczycie góry, na której od tylu wieków sława jaśniała. Ona i wam towarzyszy. Pomnijcie, w jakim dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiej dla was pamiątki. Niech godło sławy i miłości kraju w sercach waszych na zawsze pozostanie!“

Uderzono w bębny; wojsko otrzymało rozkaz udania się na kwatery.

4.

W klasztorze Ara Coeli w dniu 8 czerwca ruch panował niezwykły. Legjoniści czyścili ubrania, naprędce zszywali buty, doprowadzali broń do blasku nowości, golili się i nastrzępiali wąsy.

— Co to dziś za uroczystość, ojcze? — zapytał Ciompę Staś, zszywając na kolanie pończochę szpagatem.

— Wręczenie sztandaru króla Jana Sobieskiego naszemu wojsku.

— Jan Sobieski przysłał nam sztandar?

— Ach, ty nieuku! Jan Sobieski nie żyje od stu lat. Sztandar tylko, który on zdobył na Turkach pod Wiedniem, a w wielkiej swej pobożności do świętego miasta Loretto wysłał, został ofiarowany Polakom, rozumiesz? naszym legjonom, jako znak, żeśmy nie gorsi od tych, co pod Wiedniem z wielkim królem walczyli.

— Nie podoba mi się to zabranie sztandaru ze świętego miejsca — odezwał się Miętus, stale usposobiony do przeczenia.

— Święte miejsce! — zawołał Ciompa — byle jakie miejsce może być uświęcone, skoro duch ofiary nas przenika. Małośmy to krwi przelali, mało trudów i nędzy znosimy; jednakowoż nie szemrze z nas nikt, w kościele codzień bywamy, do sakramentów świętych codzień przystępujemy, więc nasz zastęp jest Bogu miłym, i sztandar wśród nas może być jak wśród tłumów w kościele, bo jednakowo na modlitwie i ofierze trwamy.

— Co nam z onej szmaty! żeby nam lepiej furgon chleba przysłali! — powtórzył znów Miętus.

— Pana Boga nie obrażaj takiem gadaniem! Jak można ową relikwję narodową nazywać szmatą?...

— Nie uważajcie, kumotrze Bartoszu, na to, co Miętus gada! On się z temi farmazonami *) ze strzelców jenerała Girardona wdał, a oni na wszystko święte plwają.

— Tak, z onym Pochardem osobliwie, co tak się przechwala, jako w Wandei **) do chłopów, co bronili wiary i króla, jak do wróbli strzelał.

— Oj, przywiodą cię na zły koniec te znajomości!... Uczciwy Polak i katolik nigdy nie powinien podawać ręki takiemu łotrowi, co własnych braci mordował.

Miętus wziął się pod boki, głowę podniósł hardo i rzekł: — Uczciwym Polakiem i gorliwym katolikiem byłem dotychczas i co mi z tego przyszło?... Żonę i dziecko zostawiłem doma aż nad Bugiem, przysze-

---

*) = niedowiarkami.

**) Wandea — prowincja we Francji. Za czasów wielkiej rewolucji francuskiej powstała przeciwko republikanom.

dłem tu obcym się wysługiwać i co?... głodem przymieram, buty mi z nóg spadają. Patrzę, jako różnym heretykom, co Ojca Świętego precz wyrzucili, dobrze się powodzi, jak jeneralskiemi szlifami błyskają; a my, cośmy zawsze świętemu Kościołowi służyli, świecimy ciałem naszem, co przez dziury munduru wygląda.

Cisza zaległa salę. Dowodzenie Miętusa wydało się przekonywającem tej wynędzniałej i zbiedzonej gromadzie.

Nagle rozległ się cichy, lecz dźwięczny i dobitny głos Jakóba Milskiego, żołnierza jeszcze z drużyny Pułaskiego, który pomimo lat siedemdziesięciu służył w legjonach, wytrwale znosząc trudy i nędzę.

— Powiadacie, Janie, że nie było ludu tak wiernego Kościołowi, jako my byliśmy, a że niema tak nędznego, jako my jesteśmy. Prawda, dzielnych obrońców Kościoła nie brakowało nam nigdy; ale popatrzcie, Janie, na sprawy z drugiej strony! Kilka lat oto przebiegamy Europę, widzimy różne ludy, słyszymy różne historje. I czyście słyszeli o drugim narodzie, któryby rzekł wrogom: pójdźcie do nas, gospodarujcie, okujcie naszą ojczyznę, ale nam zostawcie swobody, ale nam złotem zapłaćcie? Czyście słyszeli o drugim takim ohydnym postępku w historji?

— Więc dlatego, że było kilku wśród nas łotrów, my mamy tyle cierpieć?... Gdzie tu sprawiedliwość?

Milski podszedł do Miętusa, ujął go za ramiona i podnosząc ku niemu jasne, o dziecięcym niemal wyrazie oczy, zapytał z prostotą: — Wolisz-li być takim nędznym, jak my, czy tak, jak oni, zdrajcy?

Miętus nie znalazł odpowiedzi, spuścił głowę na piersi i przygryzał wąsa.

A Milski ciągnął dalej: — Ja, skoro nam tak chłodno i głodno i gdy tak gnani jesteśmy od miasta do miasta, jak cyganów gromada, powiadam sobie: Panie Boże, chwała Ci i dzięki za tę nędzę, te rany, tę poniewierkę! O tem historja pisać będzie. Wnuki nasze wiedzieć będą, że jeśli w dziejach naszych byli występni i przekupni, to znaleźli się i ofiarni i cisi i bohaterscy. Tamtych była garść, a nas jest kupa, a zatem nie napróżno śpiewamy marsza Dąbrowskiego. Komu ojczyzna miła, kto chce, aby nie wolno było przyszłym pokoleniom pluć na cały nasz wiek, ten Bogu dziękować będzie za one rany, za on głód, za oną poniewierkę.

W izbie dało się słyszeć łkanie; to Staś przypadł do kolan starego wiarusa, tuląc się do nich z płaczem.

— A czego ty buczysz?

— Ojcze, ja rad cierpię.

— Ty, dzieciuchu!... czy ty wiesz, co cierpienie?

Uniósł chłopca i spojrzał mu serdecznie w twarz, w twarz czerstwą, ogorzałą, ale rzeczywiście nad wiek poważną i wyszlachetnioną.

— Czy ty wiesz, co cierpienie?

— Jam w Weronie był... — szepnął chłopiec.

A stary Milski do piersi go przycisnął.

Wszyscy legjoniści znali historję dziecięcia legjonu; i oto przed oczami starca przesunęła się ohydna scena mordu rodziców w oczach dziecka, więc tulił jasną głowę Stasia i szeptał: — Zaznałeś, co ból; zaznasz, co szczęście, gdy wrócisz... gdy do ojczyzny wrócisz.

Rozległa się trąbka wymarszu.

Ustawiono się w uliczce, tworząc szpaler. Jenerał Dąbrowski przy kościołku św. Stanisława na koniu, w świetnym mundurze, oczekiwał uroczystego pochodu. Na wieży kościołka rozlega się hejnał na trąbce, taki sam hejnał, jaki od wieków płynie ze szczytu Marjackiego kościoła w Krakowie, jaki rozbrzmiewał przy koronacji królów, przy wjazdach bohaterów, przy przysiędze Kościuszki.

W wąską uliczkę wjeżdża pochód trójkami. Na przodzie kapitan Kozakiewicz na białym koniu; przy nim chorąży Świstacki, ten sam, który za Głowackim pod Racławicami pierwszy dopadł baterji wroga, dźwiga wsparty na ramieniu sztandar Mahometa. Zielona materja chorągwi powiewa nad jadącym jak symbol wielkich nadziei, które nad tymi bohaterami się unoszą; błyskają na niej bogate złote hafty, gwiazda i półksiężyc złoty; oczy wszystkich wznoszą się wgórę ku tym znakom niebieskim.

O, złota nadziejo! o ty, górny porywie, co skrzydła do ramion przypinasz, co duchom na niedostępne wyżyny wzlatywać każesz!...

Muzyka gra, żołnierze broń prezentują, a chorągiew Sobieskiego łopocze nad legjonami pieśń zwycięstwa, pieśń tryumfu.

Zbliżają się do wodza... i on — wódz naczelny, Dąbrowski, broń prezentuje, a twarz ma uroczystą, głowę schyla, jak przed świętością, przed tym sztandarem, którego zdobycie tylu husarzy z chorągwi królewicza Jakóba śmiercią przypłaciło *).

---

*) W bitwie pod Wiedniem w r. 1683.

Weszli do kościoła, tam przedewszystkiem sztandar Sobieskiego podniesie uroczystość nabożeństwa. Legjoniści sznurem przystępują do komunji świętej; wznoszą się marsowe oblicza, składają spracowane dłonie, biją w piersi potężne ręce. Słońce wpada przez kolorowe szyby okien, nadając blasku zniszczonym mundurom, uwypuklając napisy na amarancie epoletów: „gli uomini liberi sono fratelli“ *), znacząc mocno liczne na twarzach blizny.

Po wszystkich towarzyszach, na końcu przystępuje Stach do komunji, do swej pierwszej komunji, do której ksiądz Falęcki, kapelan legji, przygotował go od czasu wejścia do Rzymu. Ręce na piersiach ułożył, przyciskając do serca biało-amarantową kokardę z gałązkami mirtu.

Ksiądz Falęcki, który w ciszy od kilkunastu minut rozdaje hostję świętą, zatrzymał się.

— Oto Ciało i Krew Pańska; zastanów się nad tem ty, którego nazwano dzieckiem legjonu! Ciało i Krew Tego, który za nas cierpiał mękę, który za nas krew przelał, który za nas na krzyżu umarł, podnosząc cierpienie do wysokości bóstwa. A oto ty codziennie patrzysz na cierpienie zastępów, które ojczyznę nadewszystko ukochały, z których mała zaledwie cząstka do ojczyzny powróci. Chłopcze, przeżyjesz pewnie nas wszystkich; pamiętaj, abyś zczasem dał świadectwo prawdzie, że jeśliśmy walczyli z takimi, jak i my, rzecznikami swobody, że jeśliśmy wkraczali jako zwycięzcy w miejsca dla nas święte, to tylko dla świętych nadziei naszych, których owoców oby Bóg po-

*) Te wyrazy włoskie znaczą: „Wolni ludzie są braćmi“.

zwolił zażywać chociaż prawnukom naszym!... Niegdyś rycerze złote ryngrafy*) na pancerze kładli, a oto ja ci wkładam ryngraf jedyny, na jaki dziś stać nasze żebracze zastępy — medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, biedną małą blaszkę, a która za pancerz stać nam musi, bo serce krzepi do hartu stali. Dziecię legjonu, oto cię błogosławię na trudy, na niedolę, oto cię pasuję na rycerza naszej biednej, zdeptanej ojczyzny. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

5.

Wśród wspaniałych murów odwiecznego miasta, pod złotem słońcem, wśród gajów róż i kwitnących mirtów, legjoniści chodzili coraz smutniejsi, bardziej ponurzy i wynędzniali. Z powodu częstych zmian w składzie rządu rzeczypospolitej Cyzalpińskiej**), byt legji pod względem prawnym, ani tem mniej pod względem materjalnym, nie był dostatecznie zapewniony. Dąbrowski i Wielhorski czynili w tej mierze usilne starania w Medjolanie, ale narazie nie zdołali usunąć różnorodnych trudności.

Tymczasem legjoniści pełnili służbę o głodzie, niepłatni, źle odziani, z najwyższym wysiłkiem zdobywając się na podtrzymywanie opadającego z nich w kawałach umundurowania.

Bywały wypadki, że legjonistów podnoszono zemdlonych z głodu na ulicy. Pomoc ze strony mie-

*) *Ryngraf* — blacha napierśna z wizerunkiem świętym.

**) Utworzonej przez zwycięskich Francuzów w północnych Włoszech.

szkańców stawała się rzadką; Rzymianie patrzyli na legjonistów jako na sprzymierzeńców ujarzmiających ich Francuzów, a choć mieli uznanie dla ich pobożności, uczciwości i karnego spełniania obowiązków, za wiele mieli sami do dźwigania ciężarów, wynikłych z wojny i rewolucji, aby przychodzić obcej nędzy z pomocą.

Pewnego popołudnia do izby, w której Ciompa uczył Stasia, wszedł Sendal chwiejącym krokiem, rzucił na stół niewielkie zawiniątko, zbliżył się do klatki wróbla, przemówił do niego serdeczną pieszczotą, potem wrócił do stołu, a zasiadłszy na ławie, jął nożem starannie skrobać przyniesione korzonki.

Ciompa podniósł oczy z nad okularów. — To leki?

— Aha, leki — mruknął Sendal.

— A co wam dolega?

— Głód — rzucił ze złością wiarus.

— Warto takową chorobę leczyć? Skoroście do legji wstępowali, nieboszczyk pan pułkownik Liberadzki mówił wam, że u nas głodu zaznacie, a wyście na to przystali.

— Nie prawda! nie przystałem! — huknął Sendal — jeno powiedziałem, żem nawykły korzonkami się żywić... No, to i uzbierałem sobie korzonków — dodał łagodniej — i siedzę cicho, więc czego na mnie nastajecie?

— Nie nastaję na was, jeno myślałem, że się na głód skarżycie.

— Aha, głód!... gdy ziemia takie specjały rodzi... Jeno je trza zgotować. Kuchnia na drugim końcu klasztoru, pół mili drogi, a ja nóg nie czuję, bom się po kamieniach i skałach za tem świństwem nałaził.

— Ja zaniosę do kuchni — zawołał zrywając się Staś — tam przy ogniu...

Sendal odsunął go niechętnie. — Tam przy ogniu może znowu jakiego wróbla usmażysz.

— Jak Pana mego Jezusa Chrystusa kocham, mieliście już nie wspominać, Pawle! — surowo odezwał się Ciompa. — Darowaliście dzieciakowi jego mimowolne przewinienie, gdy do pierwszej komunji szedł, i samiście od owego wypadku tyle razy do Stołu Pańskiego przystępowali, a tej paskudnej złości precz z serca nie umiecie wygnać.

Sendal się zawstydził. — Staram się — rzekł — ale żal często tak do serca napłynie, tak żółcią napłynie, gdy wejrzę na onego biedaka a pomyślę, że choć wróci do ojczyzny, nie pobuja już swobodnie po naszym ogródku przed chałupą, bo kaleka już, weteran do śmierci.

— Co dla niego ojczyzna!... Ptak nie ma ojczyzny.

— Nie obrażajże Pana Boga, Bartoszu! Żeby ptak nie miał ojczyzny, toby boćki i czajki i skowronki do Polski co wiosna nie wracały. A co zaś wróble, skoro to zawsze do rodzinnej strzechy przywiązane...

— Jeśli tak, to właśnie że twój wróbel nie Polak, jeno Austrjak, boś go w Ołomuńcu złapał.

Sendal aż zakipiał. — A psiapara! coś rzekł?... coś rzekł? Józio niby wróg?... Pod moją pazuchą, na mojem sercu wychowany, Austrjakiem miał zostać? Chodź, Józiu, pójdziemy sobie precz od tych, co nas tak szkalują, co z nas wrogów robią! Jeszcze cię, jako Austrjaka, zamordują...

Ledwo udało się Ciompie wyperswadować Sendalowi, aby się do innych koszar nie wyprowadzał, a przyjaźni ich, zawiązanej w ogniu racławickich armat, nie zrywał.

Ale Sendal czuł się dotkniętym przez Ciompę, że tak o nim, jak o Stasiu, stale mówił: — Zbój i oprawca!

Dopiero choroba Ciompy przywróciła dawne stosunki. Wiarus zapadł mocno, dostał gorączki i boleści; doktór zadecydował, że na tle wyczerpania przyłączyło się jakieś powikłanie żołądkowe, z powodu zjedzenia czegoś niezdrowego.

Sendal przypisywał to korzeniom, na które namówił przyjaciela, i był w rozpaczy. Z całą więc dawną czułością począł czuwać nad Ciompą, złagodniał nawet dla Stasia, widząc zaniepokojenie chłopca i jego pełne troskliwości oddanie się opiekunowi.

Ale Stasiowi nie wystarczyło czuwanie nad chorym. Wiedział, że Ciompa choruje z niedostatku, i zapragnął gorąco zapracować na lepszą strawę dla opiekuna choć do czasu odzyskania przez niego zdrowia. Przemyśliwał nad tem całemi dniami, radził się wszystkich, ale bez skutku. Wreszcie zaczął co rano chodzić do kościoła i modlił się gorąco o możność zdobycia pracy.

Pewnego dnia szedł z kościoła do koszar, gdy uwagę jego zajął widok dwojga dzieci, które szły o kilkanaście kroków przed nim.

Dziewczynka mogła mieć lat sześć, chłopczyk cztery zaledwie; oboje mieli czarne kędziory i ubrani byli dostatnio, lecz nie strojnie. Dziewczynka prowadziła chłopca za rękę i opowiadała mu coś z miną poważnej nauczycielki; chłopczyna miał zwróconą ku

niej pucołowatą twarzyczkę, oczy otwierał szeroko, słuchając siostry z widocznym zachwytem.

Staś pośpieszył i znalazł się blisko nich. Dziewczynka opowiadała baśń o zaklętej królewnie, która i Stasia mocno zaciekawiła.

Nagle mały chłopczyk rozpromienił się, a wyciągając ręce ku kamienicy, znajdującej się po drugiej stronie ulicy, począł wołać: — Mamusia! mamusia!

Rzeczywiście, w oknie pierwszego piętra ukazała się postać ładnej, młodej Włoszki, która serdecznie wyciągnęła ramiona ku malcom.

Chłopczyk wyrwał dłoń z ręki dziewczynki i rzucił się ku środkowi ulicy, pomimo ostrzeżeń siostry. W tej chwili z przeciwległej bramy wypadł wózek, zaprzężony w dwa konie, które rwały naprzód, nie dając się utrzymać stojącemu na nim żołnierzowi francuskiemu. Widocznie do wózka, na który miano naładować prowjanty, założono wierzchowce, które, nienawykłe do ciągnienia, rzuciły się naprzód spłoszone i niesforne.

Z dwóch stron ulicy rozległ się krzyk: — „Rito!...“

Byli już o krok jeden od rozhukanych koni, gdy przytomny Staś porwał dziecko wpół i rzucił się z niem wbok. Stracił przytem równowagę i padł na bruk, uderzając głową o kamień, uratowanego jednak dziecka nie puścił, przytulając je do boku.

Matka z błyskawiczną szybkością znalazła się przy dziecku i jego zbawcy.

Mała dzieweczka skoczyła także ku nim, zanosząc się od płaczu. Staś podniósł się, ale blady był jak ściana, usta miał zsiniałe i chwiał się na drżących nogach.

— Moje dziecko! moje drogie dziecko! — wołała Włoszka, unosząc jedną ręką syna, drugą przytulając do serca główkę Stasia.

Nagle wstrząsnęła się, bo spojrzała na swą rękę — była zakrwawiona. Z głowy Stasia wzdłuż szyi spływała nitka krwi.

— Ranny! ranny! — krzyknęła. I postawiwszy na ziemi synka, który zaraz uchwycił się jej sukni, otoczyła ramieniem Stasia i powiodła do mieszkania.

Tu z pomocą służącej jęła obmywać skaleczoną głowę Stasia.

Chłopiec tymczasem oglądał się po pokoju. Był urządzony jak mieszkanie przeciętnych zamożnych mieszczan rzymskich: meble staroświeckie, kominek z pięknym zegarem i wazonami, w rogu pokoju szpinecik, *) okryty wschodnią makatą **).

Nadbiegł też i właściciel mieszkania, pan Borasco, właściciel sklepu korzennego. Dowiedziawszy się o wypadku, jął się dopytywać chłopca o rodzinę jego i okoliczności, w jakich znajdował się w Rzymie.

Chłopiec opowiadał o swem położeniu od chwili tragicznego zgonu rodziców.

Pan Borasco słuchał w skupieniu; małżonka jego, piękna pani Wiola, wydawała ciągle westchnienia i wykrzykniki. Chciano zatrzymać chłopca na obiad, ale wymówił się zapewnieniem, że opiekun byłby niespokojny. Wówczas pan Borasco wyjął z kantorka ***) kilka sztuk złota i podał je Stasiowi: — Weź to razem

---

*) Narzędzie muzyczne w kształcie stolika.

**) = grubą tkaniną, podobną do dywanu.

***) = biurka.

ze słowami naszej wdzięczności; przydaci się to z pewnością.

Krew uderzyła chłopcu do głowy; cała duma i godność wystąpiła rumieńcem na twarz i zarysowała się hardym błyskiem oczu. Senatorskim iście ruchem ręki i głowy odsunął dłoń pana Borasco. Włoch spojrzał nań zdziwiony i zmieszany cokolwiek. Ale w tejże chwili Staś wspomniał na nędzę chorego opiekuna i zawstydził się swej dumy, pocałował więc zwieszoną rękę Włocha i rzekł nieśmiało:

— Za złoto dziękuję; ale skoroście tacy łaskawi, pozwólcie, że póki mój opiekun nie powróci do zdrowia, codzień przychodzić będę do was z garnkiem po obiad dla niego.

Pani Borasco ze łzami uściskała Stasia i zapewniała, że będzie najszczęśliwsza, mogąc pamiętać o posilnem jedzeniu dla nich obu.

I oto tak się stało, że odtąd Staś uszczęśliwiony przynosił codziennie garnuszek posilnej zupy, kawał mięsa, a nieraz całe kurczę lub kaczkę. Porcje były duże, tak że i Sendal mógłby się jako tako pożywić przy nich; ale wiarus nie chciał przyjąć nawet takiej pomocy, dowodząc, że stary, ledwie trzymający się na nogach Milski więcej jej potrzebuje. Spożywali przeto obiady Ciompa z Milskim w sekrecie, po wyjściu z izby reszty legjonistów, aby innym zgłodniałym nie czynić oskomy.

Jenerał Dąbrowski, z boleścią patrząc na nędzę swej drużyny, postarał się, by ją najmowano do żniw na olbrzymich łanach, osuszonych po dawnych bagnach Pontyjskich; legjoniści więc mogli zarabiać po talarze dziennie.

Niemała była radość między wiarusami, gdy im to oświadczono.

O świcie wyruszono do roboty.

Ciompa, za słaby jeszcze, by mógł iść do żniwa, ze smutkiem śledził wybierającego się Sendala i dawał przestrogi Stasiowi, by sierpa nie ruszał, poprzestając na wiązaniu snopków, by nie pił zgrzany, a jeżeli robota zagna ich dalej, nie pozwalając na powrót do Rzymu, nie zawieruszył się gdzie na pastwę włoskich bandytów, tylko trzymał się ciągle Sendala.

Ten ostatni wprawdzie zapewniał, że od czasu wypadku z wróblem nienawidzi Stasia, ale zboku śledził, jak się chłopczyna ubiera, uśmiechnął się, gdy spostrzegł zdumienie Stasia z powodu łaty, która „nie wiedzieć skąd na bucie się znalazła", a nad którą przecie on dwie godziny tej nocy przed kominem siedział; wreszcie wziął od niego tobołek cięższy, bo zawierający i garnuszek i rondelek i grubą kołdrę, jemu zaś oddał swój mały pakiecik.

Rozdano im sierpy i kosy. Miejscowy ekonom rozpoczął pochód.

Słońce rozlało się już purpurą na wschodzie, gdy stanęli gromadą przed wielkim łanem, szumiącym pełnemi kłosami zbóż, upstrzonym różnobarwnem kwieciem. Każdy trzymał sierp lub kosę, poważnie, ze skupieniem. Wtem feldfebel Bojasiński uniósł rogatywkę i zawołał: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Amen! — odrzekli wszyscy.

— Panie Boże pobłogosław nam w tej pracy, aby wyszła Bogu na chwałę, ludziom na pożytek!

— Amen!

Nagle Stach, który od chwili wymarszu z powrósłem na ramieniu z trudnością powstrzymywał wzruszenie, wybuchnął płaczem i rzucił się na piersi Sendala.

— Dziecko, co tobie? — ze szczerem przerażeniem zapytał Sendal.

— Takie pole, jak u nas, i takie kwiaty i takie sierpy... — szlochał dzieciak.

— Wszyćko takie, a jednakże inne...

— Kiedy my na naszem polu tak staniemy o świcie, o słonku, do roboty?

— Ano, jak Bóg Najwyższy dać raczy...

Przygarnął chłopca gorącym uściskiem, po raz pierwszy od paru miesięcy, bo i jego rozrzewnienie i czułość ogarniały pod wpływem wspomnień i porównań. A że w robocie na polu on jeden był opiekunem Stasia, więc też wypełniał opiekę z całem oddaniem się i troskliwością.

I wesoło, raźno uwijano się na rozległych łanach Pontyjskich. Pod żarzącem niebem włoskiem płynęły piosenki. „Oj, dana! dana!“ — rozlegało się, jak na weselu, od świtu do nocy; a przedsiębiorcy i właściciele Włosi patrzyli ze zdumieniem i uznaniem na ten lud sterany i zbiedzony, taki wesoły dlatego tylko, że pozwolono mu pracować na roli, którą przywykł kochać i szanować od dzieciństwa.

Ale po kilku dniach zaczęły piosenki przycichać; coraz częściej ktoś siadał na ściernisku, uskarżając się na brak sił, dojmujący ból w piersiach i dreszcz pomimo upału.

Wieczorami widma gorączkowe zaczęły wkradać się do izb legjonistów, napełniając je majaczeniem i jękami.

Po tygodniu już kilkunastu leżało złożonych ciężką niemocą. A potem śmierć zaczęła grasować. Coraz częściej ulicami Rzymu kroczył smutny orszak: dwie, trzy trumny, z prostych desek zbite, na nich płaszcz żołnierski, przed niemi ksiądz Falęcki ze zbolałą twarzą, a dalej pół bataljonu żołnierzy wynędzniałych i obdartych.

Straszliwą tę kośbę sprawiała malarja, *) wypełzająca z moczarów, otaczających osuszone pola. Ale lekarze nie odrazu poznali się na tem; przypisywali śmiertelność mdłej strawie włoskiej; zakupiono więc buraków i kapusty, kwaszono ją w olbrzymich kadziach i rozdawano żołnierzom. Pomimo to śmiertelność zwiększała się ciągle.

Pewnego popołudnia dostrzegł Sendal, że Staś jakoś zostawał wtyle, nawet dwukrotnie usiadł na kupce snopków. Zarzucił sierp na ramię i zbliżył się do chłopca. — Stachu, co ci? czyś chory?

— Tak mi jakoś...

— Co ci?

— Tak, jakby mnie głowa trochę bolała i ziębi mnie w piersiach.

— Idź do izby, legnij!

— Nie, odpocznę trochę i zarutko do roboty wrócę.

Ale nie wrócił; dostał gwałtownych dreszczy i gorączki; odniesiono go do domu dozorcy. A że był to dzień sobotni i miano po sześciu dniach nieobecności wrócić do Rzymu, Sendal po całodziennej

---

*) = zimnica, febra.

pracy wziął rozpalonego gorączką Stasia w ramiona i niósł pełen smutku i niepokoju.

Tylu już druhów odniósł na miejsce wiecznego spoczynku; miałżeby i to dziecię, co im umilało dni smutnej tułaczki, co tak wierzyło w powrót do kraju, złożyć w obcej ziemi?...

Gdy za pierwszem zatrzymaniem się zmęczonego Sendala spostrzegli towarzysze, jak ocierał pot z uznojonego czoła, skoczyło kilku, dopominając się, żeby im pozwolił nieść Stasia.

Ciompa, który już w zupełności przychodził do siebie, wyszedł daleko za miasto, naprzeciwko wracającej gromady. Miał w kieszeni doskonałą bułeczkę z konfiturami od pani Borasco i cieszył się, że zaraz na wstępie obdarzy nią wychowańca.

Pierwsze szeregi legjonistów - żniwarzy minęły go, odpowiadając na słowa pobożnego powitania, gdy spostrzegł zsuwającą się z ramienia Władka Mięty jasną główkę Stacha. Z bijącem sercem poskoczył ku niemu, popatrzał w rozpaloną twarzyczkę i z rozpaczliwym szeptem rzucił: — Stachu!

Stach otworzył oczy, ale go nie poznał, tylko wyszeptał rozpalonemi wargami: — Wody!

Więc Ciompa, nie mówiąc słowa, wziął go w objęcia, ułożył wygodnie na ramieniu i niósł, trzymając się prosto, choć tłumione łkania wstrząsały silną postacią.

Staś walczył z niemiłosierną chorobą.

Legjoniści co do jednego orzekli, że mogą oni umrzeć wszyscy, ale nie on, nie to dziecko legjonu. Dowiadywali się więc ciągle o zdrowie chłopca i za-

klinali doktorów, by nie szczędzili usiłowań i ratowali Stacha.

A on chorował, otoczony wygodami, państwo Borasco bowiem, dowiedziawszy się o ciężkiej chorobie dziecka, zabrali je do siebie, nie szczędząc trudów i kosztów dla podtrzymania życia tego, co im uratował dziecko.

Sendal w poniedziałek przed świtem udał się znów na żniwa, aby zarobić więcej grosza na życie swoje i przyjaciela. Ciompa zaś, korzystając z niezależnego położenia ozdrowieńca, dnie całe spędzał przy łóżku Stasia.

Stach nieprzytomny był ciągle, mówił naprzemiany po polsku i po włosku, powtarzał modlitwy i słowa komendy i nucił piosenki, słyszane od żniwiarzy.

W końcu tygodnia, niespodziewanie, zaraz po południu, zjawił się Sendal, chwiejnym krokiem przyszedł do Borasców dowiedzieć się o zdrowie Stasia i oświadczył Ciompie, że udaje się do lazaretu, jako chory. Jakoż dźwigał na sobie znamiona ciężkiej niemocy.

Stanął nad łóżkiem Stasia, długo patrzał na bladą twarzyczkę dziecka i oczy, osadzone głęboko, sinemi obwódkami otoczone, modlił się chwilę, a potem zwrócił się do Ciompy i rzekł miękkim, przez łzy tłumionym głosem:

— Józia przynieś mi jutro... mnie się widzi, że ja, stary i zmarnowany, już nie wyjdę z lazaretu... Jeżeli on przeżyje, będzie miał pamiątkę po mnie i dobry dla niego będzie, bo to nieprawda, żeby on był ukrzywdził ptaszynę... A jeżeli... jeżeli Pan Bóg nam go zabierze... to ptaszynę mu do trumienki... jak będą zamykali...

przecież takie maleństwo nie namęczy się... przypadnie to do piersi Stasieńka, przytuli się do serduszka, chwilę grzać będzie jego zimne ciałko swojem gorącem jeszcze, i tak pochowamy ich obu razem... Szkoda, że w obcej ziemi!

Ciompa rzucił się ze szlochaniem w ramiona przyjaciela: — A co ja zrobię, jak mnie wszyscy trzej odejdziecie?

— Ty, Bartoszu, zdrów teraz jesteś i krzepki... wrócisz do ojczyzny.

6.

W ogródku przy domu Borasców róże odurzały zapachem. Na trzcinowym leżaku, usłanym pościelą, spoczywał Staś wyczerpany chorobą, lecz już bliski wyzdrowienia. Mała Janina obierała mu pomarańcze z powagą dorosłej pielęgniarki, gdy chłopiec uniósł się z rozjaśnioną twarzą.

— Idą! — zawołał.

Jakoż z sieni domu wyszli dwaj legjoniści, dążąc w stronę ogródka. Ciompa w pełnem uzbrojeniu i tornistrze, jak do wymarszu, szedł miarowym krokiem, prowadząc pod rękę wspartego na kiju i powłóczącego nogami Sendala.

— Widzicie! widzicie, żeście nie umarli, matko chrzestna! — wołał, klaszcząc w dłonie, Staś. — Pani Borasco mówiła mi, że się tak spłakała tej nocy, kiedyście to przyszli żegnać się ze mną i przykazali Józia do trumny mi włożyć...

Zawisł na szyi Sendala, który całował go drżącemi usty.

— Mój złoty! mój najmilszy! jak dobrze, żeście nie umarli!... a jak dobrze, że i ja nie umarłem!

— Aleśmy się ledwo, ledwo wymigali.

— Znać, że nam tak zaraz umrzeć nie sądzono... I że wrócimy do Polski! — Wrócimy, synku!

— A co to ojciec Ciompa tak, jak do szturmu?

— O, bo przyjdzie mi szturmować pewnie niejeden kąt. Dziś wychodzimy z jenerałem Girardem do południowych prowincyj Państwa Kościelnego, gdzie srogie wybuchło powstanie, wzniecone przez podżegaczy rządu neapolitańskiego. Rad jestem, że Sendal już może codzień ze szpitala się wywlec: będziecie sobie towarzystwa dotrzymywać we dwóch.

— We trzech — poprawił Sendal.

— We trzech z Józiem! — z uśmiechem dokończył Ciompa.

— A tam, dokąd idziecie, sroga wojna będzie?

— Pewnie, Stasiu!

— Taka, jak przy wzięciu Werony?

— Prawdopodobnie straszliwa; górska to bowiem kraina, pełna skał stromych i niebezpiecznych wąwozów, a i powstańcy uzbrojeni doskonale, amunicji mają moc i armaty pono strzegą wszystkich ważnych punktów.

Staś rękę Ciompy do ust przycisnął. — Tylko pilnujcie się, ojcze chrzestny, nie ciskajcie się na bagnety i armaty! Pod Racławicami, tam było co innego, tam broniliście naszej sprawy, ale teraz...

— Może chcesz, żebym uciekł?

— A niechże Pan Bóg i Matka Najświętsza bronią!... Honor żołnierski zawsze jednaki być powinien... Ale się nie narażajcie, ale się strzeżcie!

— Oj, ty, ty, dzieciaku! jak to mnie pilnujesz, akurat jak kwoka kurczę, co się na wodę puszcza.

— Przyrzeknijcie mi, ojcze, że się strzec będziecie.

— Przyrzekam! przyrzekam!

— Pomnijcie, największy kuraż*) zostawcie do kraju, a teraz walczcie z tym mniejszym kurażem. Dobrze, ojczusiu?

— Dobrze! dobrze!

— Pomnijcie, przyrzekliście mi!

— No, przyrzekłem.

* * *

Ale zapomniał o obietnicach, skoro mu trąby zagrały, a huk armat wstrząsnął wierzchołkami skał, otaczających miasteczko Frosinone, gdy w sprawnym szyku, wśród gradu kul i kamieni, z majorem Nadolskim na czele, szli wysadzić bramy miasta, by następnie zdobywać dom za domem, ulicę po ulicy, wśród najzaciętszego oporu nieprzyjaciół.

Dawno Ciompa nie bywał w tak srogim ogniu, w tak zaciętych walkach, jak przy uśmierzaniu tego powstania, jak przy zdobywaniu tej mieściny. W oczach jego zabito dzielnego majora Podoskiego i kapitana Kwiatkowskiego i porucznika Wysłoucha. Widział przeszło sto ciał najmężniejszych legjonistów w objęciach śmierci, a wszystko to podniecało go do czynów odwagi nadludzkiej.

Niepomny obietnicy, danej Stasiowi, rzucał się w miejsca najniebezpieczniejsze, w otwartym boju by-

*) po francusku = odwaga.

wał w pierwszym szeregu, przy braniu miast — na wyłomach spostrzegano przedewszystkiem jego twarz sczerniałą, zadymioną, z bohaterskim błyskiem w oczach. I rzecz dziwna, z wszystkich tych miejsc, w których śmierć zdawała się czyhać na każdym kroku, wyszedł cało, bez rany, bez jednego draśnięcia.

— Nic innego, tylko ta sierota kochana, to dziecko naszej legji musi modlić się za mnie, a wiadomo, modlitwa niewinnego dziecka — to puklerz nielada.

A gdy przed odwrotem do Rzymu jenerał Girardon ozdabiał najdzielniejszych, to i na piersi Ciompy, przy tryumfalnym warczeniu bębna, błysnął krzyż ozdobny szafirową i czerwoną emalją z białym orłem.

Ciompa spuścił wzrok na drogocenny przedmiot, twarz przybrała wyraz uroczysty i wyszeptał drżącemi usty:

— Będzie miał Stach pamiątkę po chrzestnym ojcu, jak Pana mego Jezusa Chrystusa z duszy kocham.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA

04112
1

„KSIĘGARNIA POLSKA“

TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

WARSZAWA, WARECKA 15,

poleca **tanie powieści i opowiadania:**

	Zł. gr.
Antoszka. **Dola Marynki Podrzutka.** Wyd. 3-e.	— 70
Bielińska M. **Dwaj przyjaciele.** Opowiadanie na tle wspomnień rodzinnych z 1831 r. Wyd. 2-gie.	— 20
Bogusławska M. **Ofiara Wiktosi.** Powieść. Wyd. 3-e.	— 48
Bukowiecka Z **Michałek.** Opowiadanie z czasów Jana Kazimierza. Wyd. 4-te. W opr.	2 50
Cieszkowska Z. **Jędrek Sokół.** Wyd. 2-e.	— 50
Czapliński E. **Cenny towar.** Opowieść z życia.	— 60
Dygasiński A. **W Swojczy.** Powieść. Wyd. 5-e. W opr.	3 60
Grajnert J. **Dziwne przygody Lorka Ślązaka.** Opowiadanie z XIII stulecia. Wydanie 2-gie.	— 28
Junosza Kl. **Dziadowski wychowanek.** Wyd. 5-e.	1 —
— **Na chlebie u dzieci.** Powieść. Wyd. 4.	— 48
— **Żona z jarmarku.** Powieść wiejska. Wyd. 2-e.	— 60
Kirkor W. (Wł. Korycki). **Trzy powiastki.** 1) Sprawa o płot. 2) Pisarz i nauczyciel. 3) Walek muzykant.	1 80
Kowerska Z. **Najmłodszy.** Opowiadanie na tle wojny europejskiej.	— 56
— **Wydalona.** Obrazek z życia Polaków pod panowaniem pruskiem. Wyd. 2-e.	— 24
Majewska Z. **Najdroższa matka.** Opowiadanie.	— 32
Nitowski J. **Niemrawa.** Opowiadanie.	— 32
Orzeszkowa E. **Romanowa.** Wyd. 5.	— —
Płocharz J. **Zimowe wieczory.** Zbiór baśni ludowych.	— 64
Prus B. **Michałko.** Wyd. 5-te.	— 20
— **O ojcowiznę.** (Z powieści „Placówka“). Wyd. 6-te.	1 —
Rulkowska Br. **Zerwany kwiat polny.** Powieść współczesna. Wyd. 2-e.	— 76
Zahorowska K. (K. Jola). **Zmartwychwstanie.** Opowiadania.	2 50